

Wiech
Opowiadania przedwojenne

Tom I
Bitwa w tramwaju

Wiech

Stefan Wiechecki

Bitwa w tramwaju

czyli
opowiadania warszawskie

Zebrał i opracował
Robert Stiller

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

[Kup książkę](#)

Mniej znane realia i wyrażenia
objaśniono w słowniczku na stronach 261–270

Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i niepoważne osiągnięcia.

Antoni Słonimski

Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.

Michał Choromański

Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.

Maria Jasnorzewska

Sardynki tańsze

Pan Stanisław Pietruszka, przysięgły kawaler w wieku lat czterdziestu sześciu, zaczął nagle odczuwać ciężar samotności. Zwierzył się więc z tą troską znajomemu swemu, panu Alojzemu Biskupskiemu, człowiekowi, który z niejednego pieca chleb jadł.

Pan Biskupski pomyślał chwilę i rzekł:

– Rzeczywiście poniekąd mężczyzna żonaty swoją wygodę ma, co pod względem wikt, przepierki i jak to mówią, świadomego obrządku.

A taki kawaler lata jak kot z pęcherzem po mieście, ni tu dom, ni tu chałupa. Obszarpany, guzika nie ma mu kto przyszyć. W mieszkaniu także samo brudy choleryczne.

– I samotność... pyska nie masz pan do kogo otworzyć! – dodał ze łzą w oku wzruszony swoją dolą pan Pietruszka.

– Faktycznie, ale z drugiej znowuż strony przyjemnie jest wrócić do domu o trzeciej rano schlany, zbradziażony i mordobicia od ślubnej małżonki nie otrzymać.

– Nie każdy mężczyzna pozwoli ukochanej kobiecie po głowie się lać!

– No tak, ale na sztorcowanie nie ma rady. Każda żona swoją przemowę ma i musisz pan słuchać. Chyba tak zrobić jak ten szewc z Targówka, co przed wojną małżonkie jaśkiem udusił za to, że mu pierwszy sen przerwała, kiedy zmęczony do domu przyszedł. Ona na Bródnie spoczywa, a jego ruskie na Syber wywieźli.

– W taki sposób widzę, że małżeński stan nie dla mnie.

– Już lepszy pies. Jego prawo człowieka najwierniejszym przyjacielem być. Bywają psy cwańsze od ludzi. Taki domu przy-

pilnuje, służy i przez laskie skacze. Czy goście przyjdą, czy na spacer z nim pan wyjdiesz, wszędzie zaszczyt masz.

– Tylko że drań wliwie pod łóżko i szczeka!

– No i wściec się może. Czytałem w kurierze, że w Ameryce jeden pies sto dwadzieścia osób pogryzł. Powściekali się potem wszyscy, co do jednego.

– Już kot pewniejszy.

– Wiadomo. I ładne to cholera. Mordeczkie ma takie sympatyczne.

– Tylko oczy fałszywe.

– I po kątach paskudzi.

– Było zdarzenie, że kot księdza zagryzł za to, że chrapał.

– Trafiają się dranie między kotamy.

– Dla człowieka nerwowego najlepsza złota rybka.

– Faktycznie. Rybka nie szczeka. Kupujesz pan sobie okrągły słoć, naliwasz wody, parę kamieni na dno, trochę rzęsy czyli też jaką roślinność. Wpuszcza się duże trzy złote rybki i godzinamy możesz pan obserwować.

– Cichutkie to, czystą wodą żyje i żadnego ekspensu nie sprawia.

– Ale drogie. Jedna sztuka w modnem japońskim fasonie do setki może kosztować.

– Co pan mówisz? To sardynki tańsze.

– Cała puszka dwa, trzy złote.

– No to może kažemy dać...

– Można!

Cała powyższa rozmowa toczyła się w barze na Kamionku. Panowie otrzymali wkrótce dużą puszkę portugalskich sardynek i odpowiednią ilość wódki. Bardzo byli zadowoleni ze sprawunku, ale się okazało, że ostatnia rybka była uszkodzona, wobec czego przewrócili bufet i połamali grającą szafę.

Sąd skazał ich za to na dwa tygodnie aresztu i 50 złotych zwrotu strat.

Pan Pietruszka po wysłuchaniu wyroku pocieszał się, że mogło być gorzej: bo małżeństwo jest aresztem, który trwa nie-raz całe życie i kosztuje moc pieniędzy. Sardynki w każdym razie tańsze!

Opowieść makabryczna

Na progu mieszkania pani Katarzyny Ząbek stanął czarno ubrany pan z bardzo zmartwioną miną i zagadnął strapiionym głosem:

- Czy mam przyjemność z żoną trupa?
- Jakiegoż znowu trupa, co pan szanowny pyskuje?
- Ostatecznie czy pani nieboszczykowa Ząbkowa, czy nie?
- Ząbkowa faktycznie się nazywam, ale nie nieboszczykowa.
- Zaraz się pani przekona. Czy to szanowny mężulek leżał u Świętego Ducha na trzeciej sali przy oknie?
- Taki blondyn z bródką?
- Właśnie. I z zyzem w prawem oku?
- I z zyzem!
- I cegłą w ciemiej przez rodzonego szwagra szturgnięty?
- On, on, wypisz wymaluj.
- Ano widzi pani szanowna, że nie trzeba się z żałobnem fachowcem spierać.

Jak mówiłem, że nieboszczykowa, to nieboszczykowa! Mężulek dzisiaj w nocy do grabarni się przeniósł, a na tem łóżku już się nowy chory położył. Nieduży facet ale sympatyczny, tyż długo nie pociągnie, bo się wódka w niem zapaliła.

– O nieszczęśliwa moja godzina! Wdowom żałobnom się zostałam na samą zimę. I to teraz, kiedy zielonego materiału na palto nabrałam i już skrajać kazałam. Wszystko na nic. Trzeba będzie czarny kupować, a ten w kufrze trzymać! Taki ładny towar mójle dranie gryźć będą cały rok! Oj, doło moja, doło nieszczęśliwa.

– Rozumie dobrze tę pani rozpacz małżeńskie, ale kufer można będzie naftaliną wysypać, to mójle zdechną.

– Ach, nigdy w świecie! Naftalina pierwsze świństwo. Chyba bagiennem liściem aksamit przełożyć, ale znowuż tak prześmiardnie, że trzeba będzie po tem parę tygodni wietrzyć.

Życie sobie chyba odbierę, co ten chłop mnie kłopotu narobił! Zawsze był taki poprzeczniak. Jak ja w lewo, to on w prawo. Tak i z tem pogrzebem nie mógł się, cholera, zatrzymać do wiosny! Zabiję się chyba ze zmartwienia i z tem mojem ukochanem mężem razem do grobu położę.

– Wdowo w żalu nieutulona, nie masz pani prawa tak mówić. Cóż znaczą wobec majestatu śmierci cztery metry zielonego aksamitu? Tu trzeba tromnę wybrać, placyk jak się należy upatrzeć, a także samo karaban zamówić: z latarnikamy, czy bez? Ze srebrnem okuciem, czy gładki?

W dalszej części swego przemówienia nieznajomy pan oświadczył, że pojmując ból wdowiego serca, podejmuje się wszystko za nią załatwić, jest bowiem właścicielem zakładu pogrzebowego i dlatego, by wdowę wyręczyć, tu się pofatygował.

Pani Ząbkowa po krótkim namyśle przyjęła ofertę czarno ubranego pana i przystąpiono do wytargowania ceny za elegancką trumnę. Żałobnik polecał czysto dębową jako najzdrowszą i najbardziej twarzową. Ale znowu cena była zbyt wysoka.

Nagle w momencie, kiedy organizator pogrzebu już opuścił dwadzieścia złotych, drzwi się otworzyły i wszedł do mieszkania ni mniej ni więcej, tylko sam nieboszczyk pan Antoni Ząbek, w dodatku schlany jak nieboskie stworzenie.

Ujrawszy męża, pani Katarzyna na razie zemdląła, ale przyszedłszy do siebie, zaczęła razem ze swym cudem odzyskanym towarzyszem życia walić, czym się dało, żałobnika pana Franciszka Podsiadłę, tak że zaszła potrzeba odwiezienia go do szpitala.

Makabryczna zagadka wyjaśniła się dopiero w sądzie grodzkim. Pan Ząbek ani myślał umierać, po prostu został wypisany ze szpitala, a pan Podsiadło padł ofiarą czyjejś fałszywej informacji.

– Jakby wysokiemu sądowi kto za życia tromnę stalował, toby wysoki sąd nie dał za to po zębach?

Tyle tylko rzekł pan Antoni w sądzie: i uzyskał dla siebie oraz małżonki po 20 złotych grzywny.

Pomniki Warszawy

Pan Stanisław Stępień, stolarz meblowy, kocha swoje miasto stołeczne bardzo. Z dumą pokazuje je obcokrajowcom z Radomia czy Kalisza, jeśli zetknie się z nimi na pomoście tramwaju. Tak też było pewnego jesiennego ranka.

Pan Stanisław jechał sobie osiemnastką z Pragi do domu na ulicę Puławską, kiedy rozpoczął z nim rozmowę jakiś pan o wyglądzie zdecydowanie prowincjonalnym.

– A co to panie takiego? – zapytał nieznajomy na widok kolumny Zygmunta.

– Ten słup i figura z majchrem w ręce na wierzchu, to nieboszczyk król Zegmont. Morowy był chłop, chojrak jakich mało. Jak wojna była, grzał się z kim popadło i wszystkich na obie łopatkę rozkładał.

A znowuż w spokoju to ten most, cośmy go przejechali, zbudował; wiadomo, że nie sam, remiechy robili, kowale, a także samo ślusarze; ale król forszę dał i roboty doglądał.

Most był dobry ładne parę lat, aż go wziął pod opiekę magistrat i cały się rozłazi, że strach jechać.

– A ten facet w perelinie z ręką na portfelu, kto to będzie?

– Drukarz jeden, Mickiewicz się nazywał, na imię miał Ta-deusz. Ładne książki drukował i niedrogie.

Potem żydowskie wojsko chciał robić, ale nie mógł się z temy beduinami dogadać, każdego chciał w kancelarii albo prowianturze służyć, aż ze zmartwienia umarł.

Ten drugi na lewo to Kupernik, z koszykiem w rękach. Właściwie nie wiadomo, co to jest. Jedne mówią, że to koszyk, drugie że arbus, w każdym bądź razie coś trzyma i jak pan widzisz siedzi.

Co to za jeden był, z jakiego fachu, tego nikt w całej Warszawie nie wie. Podobnież w gwiazdy, jak ciepła noc była, pa-trzeć lubił. To dobre na ksiutach w Młocinach, na trawie się po-łożyć i w górę kapować, ale z tego nikt nie wyżyje. Toteż ja nie wierzę, żeby mu rząd za to forszę płacił.

Jakoś to musiało być inaczej.

Jak pan chcesz, możemy się spotkać po południu, to poka-żę panu jeszcze króla Sobieskiego, co to z Turka drania pod Wiedniem jajecznicę zrobił i...

Pan Stanisław nie dokończył swej historycznej opowieści, gdyż spostrzegł, że jego wdzięczny słuchacz wyskoczył przed chwilą z tramwaju i ucieka ulicą Świętokrzyską.

Coś tknęło pana Stępnia. Sięgnął do kieszeni i z przeraże-niem skonstatował brak woreczka z 38 złotymi.

Puścił się w pogoń i na rogu Jasnej nieuczciwego prowincjo-
nała przychwycił. Okazał się nim pan Wiktor Kołacz, który mia-
sto znał nie mniej dobrze od swego *cicerone*, gdyż tu się urodził,
tu wychował, tu odsiedział sześć wyroków za doliniarstwo.

Pan Stanisław najbardziej był rozżalony, że się na próżno
napyskował i że taki w zęby kopany oprycha „na dziedzica z pro-
wincji” go nabrał.

Toteż z całą satysfakcją wysłuchał wyroku sądu grodzkie-
go, skazującego pana Kołacza na trzy miesiące aresztu.

Rozrywka towarzyska

Było upalne letnie popołudnie niedzielne. W wytwornym
salonie doktorostwa R. przy ul. Polnej siedziała elegancka para.

Pani, złocista blondynka w koronkowym szlafrocuku, z wy-
rażnym niepokojem wpatrywała się w piękne, ale niesłychanie
znudzone oblicze pana, który ziewnąwszy przeciągle, rzekł me-
lodyjnym głosem:

– Nudy, jak wielkie nieszczęście. Żebym wiedział, że pan-
na Frania nimasz dzisiaj wychodni, za żadne pieniądze bym tu
nie przyszedł. A tak co? Obiad się wrębało, a towarzyski prze-
pis salonowy nie pozwala zaraz po jedzeniu zabrać się i wyjść.
Żebym nie był człowiekiem wychowanym, dawno już bym tu
pannę Franię zostawił i poszedł, a tak męczyć się muszę w miesz-
kaniu, po jaką cholere, nie wiem. Na wolne miłość za gorąco...
Co tu robić, jak pragnę zdrowia?

– Może sobie nastawiam na gramofonie „Małą kobietkę”?

– A idźże panna Frania z „Małą kobietką”. Nie lubię pęta-
ków, niedorostków, kobieta u mnie musi być, jak to mówią, przy
kości i swoją wagę posiadać.

– No to znakiem tego może poczytać panu Narcyzowi jaką
książkę?

– Czytaj panna Frania, zobaczem, może coś z tego wyjdzie.

Blondynka zerwała się z fotela i podbiegła do biblioteki,
ale się okazało, że chlebowodawcy, wyjeżdżając za miasto, zamknęli
książki. Rozpacz odmalowała się na twarzy panny Frani, ale po

chwili ustąpiła. Dziewczę przypomniało sobie coś i żwawo pobiegło do kuchni.

Za chwilę wróciło z pięknie oprawioną w złocony półskórek grubą książką. W kuszącej pozie położyło się na tapczanie i zaczęło lekturę.

– Zrazy nalesońskie z grzybkami. Bierze się kilo ładnej zrazowej z kwiatem, skrapia octem, układa w rondlu i poddusza na wolnym ogniu.

– Dosyć. Zrazy nalesońskie danie zimowe, w lato nikogo nie bawi. Przeczytaj panna Frania lepiej o rakach po rusku.

Blondynka z miną nieco urażoną przewróciła kilka kartek dzieła i odnalazszy żądany fragment, ponownie zaczęła czytać.

Ale twarz pana Narcyza chmurniała coraz bardziej.

– Nie, do bani z takim czytaniem. Ślabizujesz panna Frania, jąkasz się, ciagniesz te raki za łeb, że bebechy się przewracają. Owszem, ugotować to czy drugie panna potrafisz, ale do odczytów za mało szkoły posiadasz.

– No to może odsmażyć panu Narcyzowi trochę pirożków?

– Człowiek nie koń, żeby się bez całej dzień żarciem zajmował.

W oczach panny Frani odmalowała się prawdziwa rozpacz, zamigotały w nich nawet brylanty łez. Nagle przez łyzy ujrzała stojący na biurku aparat telefoniczny.

– Już wiem, co będziemy robili. Potelefonujem sobie.

– Do kogo?

– Do tej Marcyśki, co u inżyniera na drugim piętrze służy.

– Po jaką cholerę? O czym ze takiemu parzygnatowi rosolem perfomowanemu będziemy opowiadać?

Owszem, telefon rzecz dobra, jak chcemy kogoś zesobać na perłowo, a osobiście nie mamy na to odwagi, bo się bojemy, żeby nam po mordzie nie dał. Także samo towarzyską rozrywkę można mieć na jury czyli do pucu, straż ogniowe albo ratonkowe pogotowie wzywając. Ale to jest zabawa niebezpieczna, do mamra się za nią dostać można i na koszt narazić.

Ale panna Frania nie słuchała już zastrzeżeń znudzonego mężczyzny. Dopadła do telefonu i w ciągu dziesięciu minut uruchomiła wszystkie karetki pogotowia „pięć piątek”, wysyłając je pod różnymi adresami.

Pan Narcyz rozpogodził się, a nawet uśmieł do łez. Była to istotnie wspaniała rozrywka. Bawiono się do późnej nocy i rozstało w najlepszej komitywie.

Dopiero na drugi dzień, po powrocie państwa, panna Frania straciła humor i posadę. Pogotowie potraktowało żart poważnie i ujawniwszy dowcipnych autorów wezwań, wystąpiło przeciwko nim na drogę sądową.

A mówi się, że Polacy mają poczucie humoru!

Mysza

Oto siedzą na jednej ławie, oczekując wywołania sprawy, żona, kochanek, mąż i jego sublokator.

Ona, niebieskooka blondynka, odpowiadać ma przed sprawiedliwością za okradzenie swego męża, przy czym sublokator padł również ofiarą, postradawszy 300 złotych.

– Jakże to było? – pyta sędzia męża.

– Ano zwyczajnie, rąbła, proszę sądu, detalicznie wszystko, co się w taksówce dało zabrać i poszła, nawet gwoździe ze ściany powyjmowała, nawet pułapkę zabrała, tylko myszę, co się w nocy złapała, bez zemstę wypuściła. Niech lata, powiedziała podobnie, niech temu staremu draniowi, to jest niby mnie, spać nie daje.

W taki sposób zapytuję się szlachetnego sądu, czy to żona tak robi, z myszą na rodzonym męża?

Mysza jak mysza, zwierzyzna drobna i niedoczekanie jej, cholery, żeby mnie przestraszyć mogła, ale szkodę skutecznieć potrafi.

Niech mnie, dajmy na to, buty w nocy ustroi, to w czym do roboty pójdę?

Toteż wszystko z duszy, z serca żonie odpuszczam, niech idzie na zbity łeb, niech złamie rękie i nogie, ale za myszę i trzysta złotych pana Białka sprawiedliwości żądam.

Z kolei zeznawał pan Teofil Białek, poszkodowany sublokator, który dość mętnie udowadniał obecność w kuferku męża oskarżonej swych oszczędności w sumie wyżej wymienionej.

Za to tłumaczenie się zbiegłej żony, pani Weroniki Majchrzakowej, brzmiało kategorycznie:

– Kto miał trzysta złotych? Kto? Taki łatek galarowy, taki śmieciarz jak pan, panie Białek? Kogo pan chcesz strajlować? Wysoko urodzony sąd, tę młode sprawiedliwość kochane?

Przyznaję się do do goździ, do łachów, chociaż wzięłam tylko swoje. Przyznaję się poniekąd do myszy, ale forsy nie było.

Doświadczony choć młody sędzia spojrzał na oskarżyciela publicznego i doszli obaj do jednego wniosku: oskarżenie jest fałszywe, podyktowane chęcią wywarcia zemsty na zbiegłej żonie.

Wyrok zapadł uniewinniający. Uciśniona cnota podała ramię kochankowi, spojrzała z pogardą na swych prześladowców i wychodząc, rzuciła im jedno tylko słowo:

– Pętaki!

Dramat w tunelu

Są ludzie wybuchowi, reagujący natychmiast na każdą doznaną zniewagę, ale też szybko o niej zapominający. Taki choć na razie gwizdnie swego krzywdziciela w ucho, za chwilę gotów go serdecznie ucałować i zaprosić na jedną większą wódkę.

Jeśli jednak idzie o pana Józefa Balwierza z Rembertowa, ma on usposobienie zupełnie inne. Długo pamięta każdą, najmniejszą bodaj urazę i cierpliwie hoduje w sercu plan zemsty.

Zaszła raz pewnego taka okoliczność, że przyjaciel jego, pan Eugeniusz Gutkowski, dotknął miłość własną pana Józefa, odmawiając postawienia ósmej, parzystej kolejki w barze „Żywiec” wprost Dworca Głównego.

Pan Balwierz nie oburzył się nawet, powiedział tylko zimno:

– Nie to nie, pies z tobą tańczyć!

Ale zniewaga zapadła mu głęboko w duszę, umysł zaś począł pracować nad szatańską zemstą.

Przy jasnym piwie plan dojrzał i był opracowany z najdrobniejszych szczegółami.

Gdy panowie wyszli na Marszałkowską, pan Józef powiedział, jakby nigdy nic:

– Gieniu, jechałeś kiedy przez nowy tunel?
– Zdaje się... że... nieeee.
– Wstydź się... par... patriota tak robi? Warszawski rodak?
Trzeba to naprawić... Odwieź mnie przez tunel do Rembertowa...

– Mooooożna...

Za chwilę obaj siedzieli już w pociągu, który wkrótce, sapiąc, wtoczył się do tunelu linii średnicowej.

– Józiu... co tu... tak ciemno?

– Bo to... ttt... unel!

– A jak tunel... to musi być ciemno?

– Tak... takie jego prawo... przepis... rozumiesz? Rozumiesz... przepis... konstytucja...

– Józiu?

– Co chcesz, Gieniu?

– Zdaje się... że mnie ktoś... strzelił w mordę.

– Wątpię...

– A ja nie, bo... mi się ząb rusza.

– Zresztą możliwe... Poczekaj, jak będzie widno... to zobaczmy, kto cię mógł znieważyć.

Po kilku minutach pociąg wybiegł z tunelu. W wagonie zrobiło się widno. Pan Eugeniusz, trzymając się za prawy policzek, począł się rozglądać wśród towarzyszy podróży.

– Kto to mógł być? Ta paniusia z dzieckiem chyba nie!

– A może... dziecko?

– Przepraszam panią szanowną, ile lat sobie liczy synek?

– To córeczka, ma dziesięć miesięcy.

– Pardon, to nie ona. Ząb by się nie ruszał!

– W takim razie nikt, tylko ten Żyd. Panie starozakonny, o wiele pan wnosisz jakąś pretensję, to powiedz pan po ludzku, ale po ciemku człowieka w mordę nie wal, bo to nieładnie!

Pan Mojżesz Cerata, znany kupiec z Mińska Mazowieckiego, chcąc uzyskać alibi, odrzekł z energią:

– Ja by uderzyłem pijanego? Po co? A zresztą bym bałem się też! Myślę, kolega pana wybił!

– Józio? To niemożliwe... A zresztą... masz pan rację... za tę ósmą kolejkę. Poczekaj, łobuz, ja ci pokażę!

Pan Eugeniusz wysiadł na Dworcu Wschodnim i zażądał natychmiastowego aresztowania podstępnego przyjaciela. Jednak policja odmówiła, doradzając mu, aby po przespaniu się zaskarżył kolegę do sądu z prywatnego oskarżenia.

Tak też się stało. W sądzie grodzkim zeznawali jako świadkowie pan Cerata i pani z dzieckiem.

Ponieważ z oświadczeń ich wynikało, że w tunelu panowały egipskie ciemności i pan Eugeniusz mógł dostać po zębach od kogokolwiek, komu na przykład wszedł na odcisk, sąd uznał winę pana Balwierza za nie udowodnioną.

Jednak pan Gutkowski jest o niej przekonany i zapowiedział apelację.

Bigos z galanterią

Pan Michał Lepszy zdążył ulicą Chłodną w kierunku domowych pieleszy. Kto by obserwował z daleka węzowy szlak jego kroków, mógłby dojść do wniosku, że pan Michał ma abominację do niektórych sklepów i dlatego przechodzi ciągle z jednej strony ulicy na drugą.

To się w obecnych ciężkich czasach niejednemu zdarza. Lecz panem Michałem miotała inna siła, którą można śmiało nazwać energią wytwarzaną przez mieszaną spirytusową.

Po niezliczonych ewolucjach strudzony wędrowiec zatrzymał się wreszcie przed wystawą jadłodajni.

Poczuwszy nagle niesłychany głód, wszedł do wnętrza i zażądał porcji bigosu.

Kiedy fertyczna kelnerka, panna Władzia Piętakówna, postawiła przed nim dymiące danie, pan Lepszy pochylił się nad talerzem, wpatrywał się chwilę w poszczególne fragmenty i począł mówić do siebie:

– W poniedziałek pieczeń huzarska... we wtorek cynaderki... środa bepszytk wiejski z cybulką... czwartek, rozumie się, przepisowo flaki z pulpetamy... w piątek była wątroba cieleca... ale co było w sobotę... trochę to podobne do kielbasy sejmo-

wej... ale znowuż przypomina nieco palec od włóczkowej rękawiczki... Panienczko, proszę tu na chwilę.

– Słucham, proszę gościa.

– Czyżby to możliwe, żeby w sobotę byli tu na obiad rękawiczki?

– A to w jaki sposób?

– W taki sposób, że mi się kalendarz nie zgadza i nie mogę podług waszego przeglądu tygodniowego zorientować się, co było w sobotę... na obiad. No bo tak... niech pani patrzy, pieczeń huzarska w poniedziałek jest... wtorek w porządku, środa także... flaki czwartkowe obecne... wątróbka z piątku obecna... ale co to za cholera... rękawiczka nie rękawiczka?

– Albo sobie pan szanowny śmichy chichy z poważnego interesu odstawia, albo naumyślnie domowy bigos znieważa, żeby rachonku nie regulować.

– Broń Boże, nie zależy mnie na głupiej złotówce, bo człowiek jestem zamożny, ale takie mam wychowanie, że lubię wiedzieć, co się w bigosie znajduje i jak dawno w niem leży.

Powiedziałem: palec od rękawiczki, dlatego że nie chciałem się wyrazić: pięta od fildekosowej skarpetki... żeby gości z interesu nie wystraszyć... ale kiedy się panienka na elegancji nie znasz, to wyszczególnię głośno na całą salę:

Panowie, kto konsomuje bigosik, uwaga! skarpetka w niem figuruje. Piętę ja znalazłem, proszę szukać reszty!

Goście jedzący bigos zamarli w bezruchu. Jakiś wątył jego-
mość pobladł, zatrzepotał rękami i wybiegł pędem na podwórze.

Niecne inwektywy usłyszał także właściciel lokalu, pan Zenobiusz Figurski. Podbiegł, chwycił gościa za kark i przy pomocy dwu zręcznych kopniaków wyrzucił go na ulicę. Pan Lepszy, wypadając z zakładu, runął wprost w objęcia pana posterunkowego Migdała. Stąd protokół i sprawa o zakłócenie spokoju.

Nieznośny gość oraz nerwowi gastronom zostali skazani na grzywnę po 30 złotych.

Pan Figurski przyjął wyrok, ale wychodząc, oświadczył dumnie:

– U mnie w bigosie wyroby galanteryjne nie mają prawa się znajdować. To był listek bobkowy, proszę najwyższego sądu!

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Cesarz i wezyr

Teatr amatorski w miasteczku W. pod Warszawą wystawił dla uczczenia 250-tej rocznicy wyprawy wiedeńskiej dramat historyczny w dziewięciu obrazach z prologiem i epilogiem pióra komendanta miejscowej straży ogniowej, pana Floriana Gibasiewicza, który też sztukę wyreżyserował i objął rolę głównego Turka, czyli wielkiego wezyra Kara Mustafy.

Postać cesarza austriackiego Leopolda wcielił pan Sylwester Gumka, zastępca kierownika poczty, a to dlatego, że służył kiedyś w austriackim wojsku.

Z obsadzeniem reszty ról nie było specjalnego kłopotu, tylko nikt nie chciał grać naczelnego eunucha, ze względów zrozumiałych. Po namyśle autor rolę tę w ogóle skreślił.

Nadszedł dzień przedstawienia. Publiczności przybyło bardzo dużo, ale już od początku coś się zaczęło nie sztykować.

Światło zgasło, kurtyna zahaczała się trzy razy, zanim poszła w górę. Podczas przyjęcia posłów wiedeńskich zawalił się namiot wielkiego wezyra i przygniótł nogę jednemu z wodzów bisurmańskich, który krzyknął rozzdzierająco:

– A żeby cię nagła krew zalała, w sam świąteczny odcisk dostałem!

Ale wszystkie te drobne niepowodzenia zbladły zupełnie wobec prawdziwego nieszczęścia, jakim skończył się akt piąty.

Żeby zbytnio nie obarczać budżetu widowiska, reżyser tak urządził, że cesarz Leopold i dowódca obrońców, hrabia Starhemberg, posługiwali się jednym kostiumem. W teorii było to niesłychanie łatwe do urzeczywistnienia, gdyż cesarz ukazywał się na scenie dopiero wtedy, gdy hrabia z niej schodził i miał dość czasu, by oddać swe szaty monarsze. Ponieważ jednak hrabia oddalał się w prawą kulisę, a cesarz wychodził z lewej, za sceną zaś nie było przejścia, ustalono, że kostium przerzuci na drugą stronę nad dekoracjami miejscowy as lekkoatletyczny, pan Korytko.

Ale co innego teoria, co innego praktyka.

Król Sobieski dawno oczekiwał na czele swych rycerzy ukazania się cesarza Leopolda. Hrabia Starhemberg dawno wy-

szedł, a cesarz nie wchodził. Na scenie zapanowało denerwujące milczenie, wreszcie jeden z dworzan podszedł do kulisy i szepnął:

- Gdzie cesarz? Panie Gumka, dlaczego pan nie wchodzisz?
- Ta jakże wliżę bez portek?!
- A gdzież one są?
- Patrz pan, wiszą na ratuszu.

Istotnie z wieży starożytnego wiedeńskiego ratusza powiewały melancholijnie cesarskie spodnie. Okazało się, że Pan Korytko był tego dnia nie w formie, źle obliczył rzut i spodnie zawisły na dekoracji.

Ale pauzy niepodobna było przedłużać. Zdenerwowany inspicjent, nie bacząc na konsekwencje, wypchnął pana Gumkę na scenę.

Ukazanie się cesarza Leopolda w stosowanym kapeluszu, jegierowskiej koszulce i ciepłych kalesonach wywołało niebywały efekt. Sala zahuczała śmiechem, który jednak szybko ustąpił miejsca głosom protestu. Nieszczęśliwe matki zasłaniały oczy swym nieletnim córeczkom, wołając:

- To świństwo, opuścić kurtynę! Ubrać go, ubrać!

Komendant policji przerwał przedstawienie i polecił aresztować cesarza Leopolda oraz wielkiego wezyra pod zarzutem obrazy moralności publicznej.

Sprawiedliwość długo się wahała, co zrobić z tym fantem, ale wreszcie wczoraj sprawcy katastrofy stanęli przed sądem w W. i skazani zostali na grzywnę po złotych dwadzieścia.

Boże drzewko

Wśród lasu choinek krzątał się ich właściciel, pan Hilary Kostka, i władczym głosem rzucał rozkazy swym podwładnym.

– Szmaja, ten krzak trzeba poprawić, krzywy jak nagła krew. Franek, małe sztuczki na front.

W tym momencie podszedł do niego jakiś przyzwoicie ubrany klient i zagadnął:

- Może pan mi dobierze choinkę?

– Służę panu szanownemu. Do sufitu, czyli też ze średniaków ma być, a może mały pętaś za złotówkę na stół?

– No nie, chciałbym taką sporą.

– Już się robi. Może ta? Krzak jak panna, zaraz się go obrychtuje i dorobi podstawkę.

– Taka jakaś rzadka.

– Jak to rzadka, panie szanowny?

Choinka musi mieć swoją reprezentację, luz, żeby można było bombków, srebra, złota, a także samo zimnego ognia do cholery i trochę nawieszać.

Weźmie szanowny pan krzak nabity, jak beczka, to co z tego będzie? Wilia się zaczyna, choinkie trza ubierać, a tu nie wiadomo jak: nima co gdzie powiesić. Dzieciaki w krzyk. Kto winien? Tata! I co pana czeka?

Małżonka weźmie szanownego pana za mordę, zacznie kołować po pokojach i razem z krzakiem na zbity łeb z zamieszkalnego lokalu wyrzuci przed samem opłatkiem, na frontowej klatce zamieszanie publicznego spokoju skuteczniając.

Jeszcze od podgazowanych sąsiadów swoim porządkiem może pan szanowny też po krzyżu oberwać z powodu znieważenia dnia świątecznego.

A przy rzadkiem krzaku tego wszystkiego nie będzie.

– Ale co mi pan za historyjki opowiada! Ta choinka, prócz wszystkiego, jest zupełnie żółta.

– Jak to żółta? Wczoraj dopiero z lasu przywieziona, ale chojak musi mieć swój kolor. Zielony jest szczypiorek, ale ja warzywem nie handluję, to pan dostanie troszkę dalej, w hali. A może to drzewo?

– Nie, gałązki za słabe.

– A może pan szanowny nie choinkie, tylko Herkulesa potrzebuje do cyrku? To są za słabe gałązki? Flachę wódki stawiam, że sam się pan możesz za anioła na tem krzaku powiesić i też wytrzyma!

– Cóż to za chamstwo! Gbur! Idiota!

– Franek, odstaw gościa od krzaków, bo mnie zdenerwuje i dam mu takie trafne, że całe święta w łóżku przeleży. Łachudra, czasu kupca i przemysłowca nie szanująca!

Na dany znak zausznik pana Kostki, pan Franciszek Sieczkowski, chciał wyprowadzić grymaśnego klienta ze sztucznego lasu, ale natrafił na opór i odgrazanie się sądem.

Wobec czego pryncypał zmuszony był dać gościowi owo przyobiecane trafne w postaci przepisowej fangi.

Spisano protokół; sprawa lada dzień trafi do sądu grodzkiego. Wyrok trudno przewidzieć. Faktem jest natomiast, że kupujący pan Henryk O. przesiedział całe święta w domu z kompresem z gulardowej wody na nosie.

Stąd wypływa morał, że nie należy się upierać, aby choinka była taka znów zielona, gęsta i silna.

Pojedynek aniołów

Pan Konstanty Żeberko wywodzi się ze znanej na całym Powiślu rodziny aktorskiej. Z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna w rodzinie Żebereków przechodzi rola króla Heroda w wędrowniej szopce. A że pan Konstanty, prócz dziedziczonego talentu odtwórczego, posiada jeszcze wielki zmysł organizacyjny, nic zatem dziwnego, że objąwszy po swym rodzicu biblijne berło, połączył piękne z pożytecznym i został w jednej osobie dyrektorem, reżyserem, administratorem i kasjerem wyżej wymienionej okolicznościowej imprezy.

Chcąc zgłębić konkurencję, zorganizowaną przez niejakiego Felka Burakoszczaka, pan Żeberko postanowił dać tak olśniewającą wystawę, żeby widzom oko zbiełało. Poczynając od drugiego święta, teatr rozpoczął występy.

Na scenie szło świetnie. Po pięciu szczęśliwych przedstawieniach w różnych mieszkaniach sprawa skomplikowała się dopiero w szóstym.

Kiedy trupa wkroczyła do lokalu niejakich państwa Smacznych przy ul. Freta, okazało się, że jest już tam ze swoim zespołem pan Feliks Burakowski i targuje się z gospodarzem o dzieśnięć groszy. Błyskawicznie orientujący się w sytuacji pan Żeberko krzyknął: